Przeszczep od zmarłej uratował jej życie

Twarze, imiona, rozmowy z pacjentami w sali dializ szczecińskiej kliniki zostaną na zawsze w pamięci Ewy. W tym konkretnym momencie jej życia tu byli jej przyjaciele, tu każdy ją rozumiał. Jej ból, zmęczenie, nieznośne myśli, w których mało było optymizmu. Tu zrozumiała też, jak ulotne jest życie. Ona dostała nowe, dzięki nerce od zmarłej dawczyni. Większość jej szpitalnych przyjaciół nie doczekało prezentu, który uratowałby ich życie.

Były lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku. Ewa, świeżo upieczona żona, młoda matka. Kobieta przekonana, że złapała Pana Boga za nogi i nic jej tego szczęścia nie jest w stanie zakłócić. Szybko nadeszło otrzeźwienie, bo okazało się, że życia nie można sobie tak z góry zaplanować, że my, śmiertelnicy, mamy na jego bieg ograniczony wpływ. Co gorsze, dotarło do Ewy i to, że życie czasami zaskakuje i nie są to miłe niespodzianki.

Pięć lat życia – to był scenariusz dla mnie

Po drugiej ciąży Ewa źle się czuła. Pierwsze wyniki wskazywały na to, że coś niedobrego zaczęło się dziać z jej nerkami. – Diagnoza ścięła mnie z nóg. Była jednoznaczna – odmiedniczkowe zapalenie nerek – mówi Ewa. – Lekarz prowadzący wyjaśnił mi, na czym polega ta choroba, jakie ma skutki. Ja, optymistka, zaniemówiłam. Pięć lat życia – to był scenariusz dla mnie. Szok, niedowierzanie, złość, smutek i emocjonalny ból, wręcz nie do opisania. Tak się wtedy czułam. Ta wiadomość przez moment odebrała mi chęć do walki o życie. Na szczęście z natury jestem silna, do tego już wtedy miałam rodzinę, która dodawała mocy. Lekarz prowadzący też nie pozwolił mi się poddać. Byłam w dobrych rękach. Miałam apetyt na życie i miłość dookoła. Nie wątpię, że to mi bardzo pomogło.

Z chorymi nerkami Ewa przeżyła ponad 20 lat. To już był wielki sukces. Ale nadszedł w końcu taki dzień, kiedy nerki całkowicie odmówiły współpracy. Parametry poszybowały w górę. – W trzy miesiące mój stan zdrowia bardzo się pogorszył – na samą myśl o tamtych chwilach w oczach Ewy pojawiają się łzy. – Szpital stał się moim domem, sala dializ – nadzieją na kolejny dzień. Ale w końcu usłyszałam informację, której nigdy nie chciałam usłyszeć, której się bałam, jak żadnej innej. Lekarz powiedział, że moje nerki są nie do uratowania i jedyną szansą na życie jest dla mnie przeszczep.

Nadszedł w końcu taki dzień, kiedy nerki całkowicie odmówiły współpracy. Parametry poszybowały w górę. Domem Ewy stał się szpital.

fot. Inga Domurat

Przeszczep był dla mnie jedyną szansą

Zaczęło się nerwowe czekanie na dawcę. Był maj 2003 roku, kiedy Ewa dowiedziała się, że w szpitalu w Koszalinie jest dla niej dawca. Miała minuty na podjęcie decyzji. Musiała najpierw zgodzić się na usunięcie jej dwóch nerek, a następnie na przeszczep. – Wiedziałam, że ryzyko było duże, ale ja miałam dla kogo żyć – uśmiecha się Ewa.– Nie chciałam czekać na swoją śmierć przykuta do szpitalnego łóżka. Musiałam spróbować, choć bałam się strasznie. Miałam świadomość, że mogę się nie obudzić. Liczyłam się też z tym, że cudza nerka nie podejmie pracy. Różne scenariusze były w mojej głowie, ale przeszczep był dla mnie jedyną szansą na życie. Miałam się nie zgodzić? Wykluczone. Cieszyłam się, że los się do mnie uśmiechnął, że jest dla mnie nerka. Cud.

Ewa ma grupę krwi 0 Rh plus i tylko taką mógł mieć dawca. Tym bardziej nie było co zwlekać z przeszczepem. Nie wiadomo, jak długo trzeba by czekać na kolejną szansę. Ewa wiedziała, że dostanie nerkę od zmarłego dawcy, a dokładniej – od dawczyni. Wjeżdżając na salę operacyjną wiedziała też, że jedna nerka tej kobiety zaczęła już pracować u innego biorcy. – Ta informacja dodała mi sił, pozwoliła na taki głęboki oddech przed operacją – słyszę od Ewy. – Nie było komplikacji. Szybko doszłam do formy. Byłam znowu szczęśliwa, uśmiechnięta, ale z głowy nie schodziła mi jedna myśl. Ciągle zastanawiałam się, komu zawdzięczam życie. Tak, to nie przesada. Wiedziałam, że ta nieznajoma mnie uratowała. Miałam ogromne szczęście, którego zabrakło wielu. Z 12 osób, które razem ze mną leżały w sali dializ, tylko jedna żyła w rok po moim przeszczepie. Tylko z nią mogłam świętować moje nowe życie, bo okazało się, że tamci odeszli. Bardzo to przeżyłam. Ale wtedy jeszcze mocniej poczułam, że muszę dowiedzieć się, do kogo należała nerka, która pracuje we mnie. Muszę zapalić znicz na grobie tej kobiety. Muszę jej podziękować.

Dwa lata minęły zanim Ewa poznała imię i nazwisko dawczyni. – Odważyłam się o swoim marzeniu powiedzieć lekarzowi – przyznaje Ewa. – Długo się zastanawiał, zanim zdradził mi te dane. Miejsce, w którym została pochowana osoba, która podarowała mi drugie życie, musiałam znaleźć sama.

Z głowy nie schodziła mi jedna myśl – komu zawdzięczam nowe życie

Ewa wiedziała, że to w koszalińskim szpitalu zespół transplantologiczny pobrał nerkę od zmarłej dawczyni. Było duże prawdopodobieństwo, że kobieta pochodziła z tego właśnie regionu. Ewa dokładnie przejrzała książkę telefoniczną. – Znalazłam osiem osób z poszukiwanym nazwiskiem – wspomina. – Trzy były z powiatu szczecineckiego. Postanowiłam zadzwonić do zakładu pogrzebowego. Wiedziałam, że szukana przeze mnie kobieta była w podobnym do mojego wieku, a umarła najpóźniej dwa dni przed przeszczepem. Liczyłam się z tym, że mimo tych informacji, moich dobrych intencji, po rozmowie telefonicznej mogę zostać z niczym. Ale mimo obaw, wzięłam telefon do ręki. Mężczyzna po drugiej stronie wysłuchał mnie uważnie, obiecał, że sprawdzi dokumentację zakładu pogrzebowego i oddzwoni. Szczerze wątpiłam, że to zrobi. Ale dosłownie za kilkanaście minut zabrzęczał telefon. Trudno mi było powstrzymać emocje. Notowałam w pośpiechu, dziękując za pomoc z całego serca. Wiedziałam już, gdzie jest grób.

Ewa nie musiała prosić męża, by zawiózł ją na cmentarz. – Kiedy dojechaliśmy, instynktownie wiedziałam, w którą alejkę wejść. Nagrobek znalazłam właściwie bez szukania. Łzy same leciały mi po policzkach – mówi Ewa. – Czułam się tak, jakbym odwiedziła grób kogoś bardzo bliskiego. Drugiej matki, bo dzięki niej narodziłam się ponownie.

Bałam się spotkania z rodziną kobiety, której nerka żyje we mnie

Od tamtego dnia Ewa z mężem jeżdżą na ten cmentarz kilka razy w roku. – Na początku obawialiśmy się, że przy grobie spotkamy rodzinę zmarłej. Bałam się reakcji, nie wiedziałam, czy zdobędę się na odwagę i powiem, że mam w sobie nerkę matki, teściowej, babci tych ludzi – dodaje Ewa. – Nadszedł w końcu dzień takiej konfrontacji. Odwagi dodał mi mąż. On mi powiedział, że czas najwyższy porozmawiać, to ukrywanie się jest zbyt męczące. Poczekaliśmy wtedy na tę rodzinę przy samochodzie. Powiedziałam o nerce. Był płacz. Wzruszeni, trochę

Wjeżdżając na salę operacyjną Ewa wiedziała, że jedna nerka dawczyni zaczęła już pracować u innego biorcy.

fot. Inga Domurat

Nagrobek znalazła właściwie bez szukania. Czuła się tak, jakby odwiedziła grób kogoś bardzo bliskiego.

fot. Inga Domurat

zakłopotani, a jednocześnie tak siebie ciekawi, staliśmy i rozmawialiśmy przez dobrych kilkadziesiąt minut. Z córkami zmarłej wymieniliśmy się telefonami, bo wszyscy czuliśmy, że potrzebujemy się spotkać. Rozstaliśmy się, ale na krótko. Jeszcze nie wyjechaliśmy z tej miejscowości, a już zadzwonił telefon. Córka zmarłej dawczyni zaprosiła nas do domu. Nie odmówiliśmy. Dobrze się stało, bo dopiero wtedy rodzina przyznała, że miała wielkie opory, by zgodzić się na pobranie narządów od ich bliskiej. Później nawet chwilami tego żałowali. Idea transplantologii była im obca, zupełnie obojętna. Ale właśnie dzięki mnie w nią uwierzyli. Zobaczyli, że żyję, mam się dobrze, że jestem szczęśliwa. Zrozumieli, że ich decyzja uratowała mi życie.

Ewa z podarowaną nerką żyje 12 lat.

Inga Domurat